

Wspomnienia Karola Tłuczka

90 Archiwum Wschodnie  
47

Karol Tłuczek, s. Wojciecha i Marii, ur. 1913  
w Lubeni k. Rzeszowa, mieszka w Kosienicach  
pod Przemyślem.



Po zwycięstwie Piłsudskiego, zaraz po wojnie na Podole przyjeżdżali Polacy i tam się osiedlali. U nas, w Jarczowcach pod Zborowem, przyjeżdżali przeważnie z rzeszowskiego. W innych miejscowościach podzborowskich, w Futorach, Glinnym, byli ludzie z tarnowskiego, z pod Przeworska, z krakowskiego, brzozowskiego, łańcuckiego. W szystko wędrowało na Podole - mówiono, że tam jest dobra ziemia. A Laso-  
ta, mój szwagier, mówił: "oni nas tu kiedy wyrzną". Oni /Ukraińcy/  
zawsze odkazywali: "wy dłużej jak dwadzieścia pięć lat tu nie będziecie. Wy stąd będziecie uciekać jeszcze". I tak się stało...

Polacy w tamte strony przyjeżdżali ponieważ były tam parcelacje  
dworów. Srednio kupowaliśmy od 10 do 15 ha ziemi. Każdey chciał tam  
jechać, chciał sobie, jak to mówią, być poprawić. U nas, moja rodzina,  
kupiła 25 morgów - ok.13 ha. Rozsprzedawano ziemię dlatego, że chcia-  
no tamte tereny spolszczyć. Z rodzin ~~spół~~ sprzedających ową ziemię  
pamiętam nazwisko Potockich. Więc na tych zruszczonych wcześniej zie-  
miach powstawały całe kolonie polskie. Takimi koloniami były Futory  
i Jarczowce z tem, że Futory należały już do miasta, do Zborowa,  
a Jarczowce były odrębną wsią. Obie kolonie leżały obok siebie - łą-  
czyły się. Myśmy mieszkali w Jarczowcach i do kościoła w Zborowie  
mieliśmy 4 kilometry. Później, tuż przed wojną, wybudowaliśmy piękny  
kościół we wsi. Jarczowce były wsią ruską, więc nasi ludzie osiedla-  
jąc się chcieli stworzyć odrębną kolonię - Rejtanówkę i tam właśnie  
wybudowaliśmy swój kościół. Był już wymurowany, blachą miedzianą po-  
kryty, były wieże... nie zdążyliśmy go wykończyć wewnątrz, wyposażyć.  
Był bardzo wysoki, więc Niemcy cofając się przed Rosjanami podmino-  
wali go i wysadzili. W Jarczowcach wówczas były druga niemiecka li-  
nia, stała tam artyleria, a w Jeżewnej, trochę na wschód, stali już  
bolszewicy. To chyba był czterdziesty czwarty rok.

Osiedlając się tam w latach dwudziestych za ziemię drogo nie płaciliśmy. Ojciec mojej żony - a oni pochodzili spod Lwowa - to nawet morga pola nie sprzedał pod Lwowem, a tu, w Jarczowcach, kupił 20 morgów. Potem jeszcze trochę sprzedał, kupił w drugim miejscu - od gospodarza, zasiedlonego, ze sadem, z pszczołami, ze wszystkim -, kupił znów 10 morgów. To my tam mieli 30 morgów, to więcej jak 15ha w dwóch miejscach! Tam ziemia były tania, ale bardzo dobra. Gdzie kto myślał tam, że chleba będzie brakować. Panie, ta tam przed wojną się robiło miasto z kolonii! Każdy jeden albo materiał już miał na dom, albo budował... W każdym bądź razie, gdyby tak spokój przez 5 lat jeszcze był, to każdy by miał murowany dom! Bo tam dobrze się gospodarzyło, dobra ziemia, przed wojną nie były takie wielkie podatki, tak nie dusili rolnika jak teraz. Mógł gospodarzyć.

W Jarczowcach polskich rodzin było - liczę rodziny mieszkające wzdłuż drogi, kolejne: Chołub - rodzice i dwie córki, Sowa, Wróbel - 7 osób, wyjechali do Argentyny, Napora, Furdak, Jakubas, Kapłon, Waśniowski, Hudzik, Hospod, Sykała Karol, Naczas,- zięć brodziny, Broda, Kapłon drugi, Strzelec, dwóch ich mieszkało obok siebie - Broniek i Janek, koło mleczarni mieszkał Jaworski, który potem sprzedał gospodarke jakiemuś Ukraińcowi i sam wyjechał, dalej Zamora Ludwik, Zamora Franek, Sudyk - jedno gospodarstwo prowadził ojciec, a drugie jego syn Marian, Biały, dalej ten co koniekradł - Dobosz, za nim ten co się ożenił u Wróbla - kulawy Matrejko, za nim ten Wróbel, którego Walerka /Córka?/ wyszła za Jaworskiego i Szyprys. To gospodarstwa po jednej stronie drogi. Po drugiej był - już nie pamiętam, wielu wcześniej pouciekało - Kubaka, Sygset - tam były takie panny!, Porada, Kapłon Janek, Kapłon Jaś, Płoszczacka, Mierzwa, Strach, Paszczyński, G ubernat, Półchłopek, drugi Półchłopek - stary Tomasz, Micał, Sykała, drugi Sykała, Rączy, Kaspruch, Adaszyński, Furtak - co go Niemcy zastrzelili w 41-wszym. U niego sowieci uciekając schowali się do piwnicy i stamtąd strzelali, a Niemcy, pierwsza patrol, jak weszli... kogo napotkali, zarąbali i koniec. Dalej Wróbel Wojtek, Borowiczka,

Marcel Wróbel, Jałówka Antek. Koniec i pustka aż do Zborowa - 5 lub 4 kilometry. 25 rodzin po jednej i 17 po drugiej stronie głównej drogi asfaltu. To była główna droga przez Przemyśl, na Lwów do Tarnopola. Cała kolonia podzielona była na trzy rejony: jeden przy torach kolejowych - Koramanka, drugi przy gościńcu - Olszanka, a trzeci to my tu policzyli. To wszystko były Jarczowce-kolonia. W Olszance, ona leżała koło rzeki, mieszkali: Kaszuba, Derengowski, Bonikowski, Mięsik, Karnas, Chożęba, Szydełko, Ibel, kołodziej, drugi Kołodziej, Gremza, Bęben, jeszcze jeden Kołodziej, Paluch, dalej... nie pamiętam, dalej Strąg, czyż, drugi Czyż, Koczełek, Chajta. Druga strona: Witek, Kania, Drozd, Jodłowski, Szaber, drugi Szaber, Kordas, przed nim był taki kowal - Chrobak, dalej Słag, Trela, Pasierb Roman, Jałówka, Krowiak, Tłuczek, drugi Jałówka, znów Tłuczek, Lasota. Inni należeli do Zborowa już, a z tych paru ostytnich też, tych co wymieniłem.

Razem trzydzieści siedem rodzin, ale nie wszystkie może zapamiętałem,

Ukraińcy mieszkali w starej wsi, byli od nas oddaleni ok. 2 km.

Osiadlaliśmy się zdaje się w roku 1922, ale rok wcześniej również przyjeżdżali tam,

Stosunki Ukraińców z Polakami źle wyglądały. Jak my tylko zajęchali, to Ukraińcy się znęcali ~~XXXXXX~~ nad nami, nawet jak do miasta się szło to co bądź robili. A przed wojną to oni uszy podnosili tak! Takie ~~manifestacje~~ manifestacje robili - Panie! -, że takie czernawy szły, tak dużo ich szło ze wszystkich stron do tego Zborowa... wielkie masy! Tam odbywało się ich święto - Szpasa. Nieraz to karne ekspedycje przyjeżdżały, wojsko - trochę ich tłumili. Na to święto - Szpasa ruskiego - wszyscy oni poubierani byli po ukraińsku: chłopcy w sekrowanych koszulach wyszywanych stąd, dotąd/pan K. pokazuje ruchem dłoni od szyi do kolan/, kobiety w czerwone wstążki... Tam nie bardzo można było się pokazywać, oni by i zabili wnet... Za to, że im Polska nic nie mówiła, bo nikt im nie mówił... czasem tylko gdzie który z tych strzelców coś... To święto ich odbywało się po żniwach, gdzieś we wrześniu, albo w sierpniu.

Z polskich organizacji były Strzelcy. Przed samą wojną działało u nas Stronnictwo Ludowe, ale Ukraińcy do niego nie należeli. Mieli oni swoje organizacje, nie wiem jakie. Był jeden Ukrainiec, Żegraj, który w okolicy kierował jakąś organizacją. On przed wojną jak przechodził na wiejskie zabawy, to chłopaki go przez okno wyrzucali.

W Jarczowcach ksiądz jeszcze nie mieszkał, na majówki przyjeżdżał ze Zborowa. Obok kościoła była szkoła, polska szkoła. Dyrektorką była pani Skubicka, uczyła tam od początku i tam wyszła za mąż, za policjanta, właśnie Skubickiego. On nie został wywieziony, chyba uciekł. Spotkałem go po wojnie we Wrocławiu, pracował w PÜRze. Drugim nauczycielem był pan Tarnawski. Lekcje z religii prowadził ksiądz Zawadecki ze Zborowa, a czasem zastępował go katecheta Chwojko.

Mleczarnia była państwowa, to był piękny duży dom. Pracował tam nasz dzisiejszy sąsiad, Bębem, ma już 90 lat i niewiele pamięta. Był również na Sybirze.

Pierwszego września wybuchła wojna. Wojsko polskie uciekało na Rumunię, było zupełnie rozbite. Pamiętam taki moment: u sąsiada, u Dzikiego urodziło się dziecko i zachorowało. Przyszedł do mnie, tak mnie strasznie prosi - chodź, pojedziemy do Zborowa ochrzcić. Dobra. - Zprzągnął konie i jedziemy. Przyjechaliśmy przed miasto, popatrzyliśmy - nie da rady zejść do kościoła, na moście stoją. Innej drogi nie było a baliśmy się, żeby nas nie pozabijali. Tam stała ukraińska banda. Bo w Zborowie były tylko niedobitki, rozbitki z polskiego wojska, Niemców nie było, zresztą oni tam wogóle nie doszli. To było gdzieś około 15 września i stała tam banda ukraińska, cywili kupa, łapali polskich żołnierzy, zdzierali wszystko, wielki stos karabinów już mieli, mundurów... Więc wracamy spowrotem. I jechało dwóch kawalerzystów na koniach, z bronią, z szablami, ze wszystkim... a prowadzili ich z Futorów Ukraińcy. A ja za nimi szedłem... I tak im chciałem powiedzieć, albo kiwnąć, żeby uciekali. Ale nie oglądali się... Tamci/Ukraińcy/ po polsku ładnie do nich mówili... konie im się podobały. I zaprosili ich na podwórze. Kto to był znać znam, ale nazwiska

nie pamiętam. To było gdzieś w okolicach gospodarstwa, które zajmował niejaki Zachajko... tam zaprowadzili te konie, żołnierzy zaprosili, ci pokazali z koni... A obok płynął potok, jakieś betony były, jakaś studnia, ja się troszkę tam schowałem, myślę - może się któryś oglądnie, to kiwnę, żeby uciekał. Ale bałem się długo stać tam, żeby mnie któryś nie zauważył, któryś z Ukraińców, więc poszedłem. A za dwa lub trzy dni ludzie mówią, że dwóch żołnierzy zabitych pod mostem leży, a ich konie mają Ukraińcy. Tak było. Innym razem jedna z Polek, Paćławska się nazywała, mówiła mi, że w jednej z sąsiednich ukraińskich wiosek, w Krasny, żołnierz polski do dnia uciekł w kalesona ch. Tam zaprosił jeden Ukrainiec żołnierzy do stodoły, zapewnił ich mówiąc, że nic złego się im nie stanie, w nocy zaś jazda - mordować. Tylko ten jeden uciekł w kalesonach i opowiadał Paćławskej - akurat spotkał Polkę. Ona była matką Michała Paćławskiego, który do Jaworskiego w naszej kolonii przychodził. Dała temu żołnierzowi jakieś ubranie, coś do zjedzenia i poszedł. Tam tak Ukraińcy robili: gdzie bądź żołnierza zabitego znalazł, w kartoflach... czym bądź, pałą, jak się tylko dało... Ludzie teraz sobie nie wyobrażają co się tam wówczas działo! Panie! Tam nikt kolacji nie zjadł... jak słońce już było wysoko, to patrzyliśmy czy z którejś strony banda nie idzie! Jak Polska się rozpadła już kolacji nie zjadł, już w mieszkaniu nie siedział... Tam kolonie były naokoło i jak wojna wybuchła, jak się Polska rozpadła, w którą stronę Pan popatrzył, to się paliło, kolonie palili. Na przykład na naszą kolonię mieli uderzyć z ruskiej wsi z Jarczowiec. O tym znać nam dał jeden Polak. I nawet noc się nie zrobiła, oni szli... Akurat nadjechały sowieckie czołgi i ktoś się żali do ruskich, że tak a tak. Oni popatrzyli przez lornetki: idą - z kosami, z karabinami, co mieli - idą na nas. TO ci zaraz skierowali działa na tę ruską wieś i tam ~~idą~~ jazda po nich, jazda po nich... maszynowe karabiny - wszystko się rozproszyło. Cłą noc sześć czołgów stało. Tam, gdzie się paliła kolonia Glinno też pojechały ruskie czołgi, ale tam wszystko się już spaliło... unas byłoby to samo...

TLU2

TLU3

W Glinnym mieszkała znajoma nam rodzina Krężli. Ludzie którzy przeżyli tamten napad, opowiadali nam, że widzieli na własne oczy, jak całą tą rodzinę żywcem w ogień wrzucano. U nas był główny asfalt, droga biegnąca do Rzeszowa i dalej, więc Ukraińcy nie mieli do nas takiego dostępu. Pamiętam taki moment, jak sowieci, po 17 września, jechali czołgami: Ukraińcy nazbierali kwiatów, niosą, rzucają, a sowieci zaczęli strzelać. To tamci tak uciekali...

Pierwsze jednostki sowieckie to były czołgi, olbrzymie takie, że mogły jechać tylko szosą. Żołnierze to byli tacy ubodzy, głodni, biedni... Te pierwsze oddziały w Jarczowcach odpoczywały, obiad jedli. A mój brat Józef, teraz jest w Australii, mówi do swej córki - weź miseczkę i idź do nich, zobaczmy, co jedzą i czy ci dadzą. I dali, dali. Ale tego się z naszych ludzi nikt nie chwycił, taka owa zupa podła była, taka czerwona, troszka jakaś chrupka latała, troszkę ryby. Jak przyszedł sowiet, to on nie żeby dostał coś dobrego - chciał tylko kartofli i mleka, był wtedy strasznie zadowolony. Gwałtem nie brali, prosili żeby dać coś zjeść. Jak ktoś mu dał, to jeszcze kopiejki wyciągnął i płacić chciał. Gdzieby ko chciał od niego brać pieniądze, widać było, że te żołnierze były takie zabiedowane... Na sobie miał tylko rubaszkę i to było za mundur, za koszulę, za wszystko. Na tym płaszcz sznurem przepasany, bury płaszcz, spodem każdy obdarty... Jak szli po raz drugi, jak gnali Niemca, to mieli już zielone mindury amerykańskie.

Broń mieli... karabin na sznurku i pikę. Bez ~~chełmów~~. To byli normalni ludzie, tak jak i my. Gdzie niektórzy miał tylko skośne oczy. Niemiec jak przyjechał, albo polski żołnierz, to - kurczę pieczone! - wyglądał! A to sam biedak był.

A gdzie niektórzy, ja Panu powiem, to się litowali nad dziećmi: jak małe dziecko zobaczyli, to każdy jeden wołał, bawił się, co miał to dzielił się. Miał mało, a zawsze się dzielił. Ze starymi również.

Te sowieckie czołgi i inne oddziały pozostały u nas noc i dzień, przeszły i już żadnego sowieta nie było, ani administracji. Urzędował

Urzędowali wtedy Ukraińcy. Zaraz po rozpadnięciu się Polski, to zrobili ukraińską milicję. Zimą tylko czasem zobaczyło się w mieście ruskiego żołnierza, ale wojsko to nie było,

Jesienią 1939 roku Ukraińcy robili rejestrację Polaków, chodzili po domach i wszystkich spisywali. Chodził tzw. chołowa - odpowiednik naszego wójta, sołtysa.

10 lutego 1940 roku wywieźli moją żonę z dziećmi i matkę. Mnie to ominęło, ponieważ w tym dniu rano poszedłem z bratem do miasta do Zborowa na zakupy. Był wówczas z nami jeszcze ojciec pani Zofii Hodiak, a że był konno, szybciej wrócił do domu, dlatego został wywieziony wraz z rodziną. Myśmy wracali na piechotę, to było ok. 4 km. Wracamy i widzimy: ucieka jeden, drugi, z kolonii i mówią: wszystkich mężczyzn aresztują. Wracamy więc do księdza. W tym samym czasie w Zborowie aresztowali 18 mężczyzn. U organisty był jeden inżynier, który do nas mówi: „chłopy, uważajcie, bo coś nadzwyczajnego się dzieje. Aresztują wszystkich Polaków w Zborowie<sup>\*</sup>. Całe okolice wokół miasta były pełne furmanek i dodnia wszystko się rozjechało, okropne aresztowania będą”. Nikt z nas nie wiedział, że oni będą całe rodziny wywozić. Zatrzymaliśmy się w Zborowie, mieliśmy taki plan: jak będzie atak na nas, kobiety zostaną na gospodarce, a my uciekniemy do Lwowa - tam mieliśmy już przygotowane kwatery do schronienia. Tymczasem tak się działo, że zabierali wszystkich kto był w domu, kogo nie było - nie zabierali. Wracam wieczorem do domu, a tam milicja ukraińska. Pytam - gdzie są z tego domu ludzie. A oni, że to sowiecka władza zabrała wszystkich i że ja też mam się zgłosić. Zaprzęgli do sań mojego konia - zarodowego ogiera - i wiozą mnie do Zborowa na stację. Po drodze mijamy furmanki które odwoziły naszych ludzi i milicjant ukraiński pyta dokąd ma mnie zawieźć. Furmani mówią, że do Młynowic na stację, ale że szkoda tam jechać, bo transport już odszedł. Był już późny wieczór, mróz bardzo mocny. Milicjant mówi do mnie, żebym rano się zameldował na komendę w Zborowie. Do domu mnie nie wypuścili, zanocewałem więc

u brata - jego rodziny nie wywieźli. On jeszcze tej samej nocy uciekł do Lwowa - konie zaprzęgnął, świnie zabił, trochę rzeczy wziął na wóz i pojechał do Lwowa tam, gdzie mieliśmy przygotowaną kryjówkę. Rano poszedłem na milcję, ci mówią, abym szedł na NKWD do Zborowa. Idę. Spotkałem po drodze księdza Jana Pawlickiego, zborowskiego proboszcza. „Nie idź tam - mówi - bo nie wiadomi gdzie ci ludzie pojechali. Czy na wschód czy na zachód, czy na życie czy na stracenie... Gdzie jaki Polak został, niech ratuje życie jak może, bo będzie jeszcze ~~każde~~ bardzo każdy Polak ceniony”. Ksiądz wyciągnął metrykę, dał mi bo nie miałem żadnych dokumentów i mówi: „nie idź, a tutaj za jakiś czas wiadomość o rodzinach dotrze”. I faktycznie, za dwa lub trzy miesiące wiedzieliśmy, że nasi są na Syberii. Zrobiłem jak radził ksiądz - uciekłem do Lwowa. Ale u brata na kolonii w stodołę mieliśmy schron, gdzie trzymaliśmy co cenniejsze rzeczy, futra itp. i po terczechy po kilku dniach wróciłem. Spotykam sąsiada, Słęga, powiedział mi, że schron odkryty... Była niedziela, patrzę się - przez kolonię idzie jeden z Ukraińców w moim garniturze. A ja nie mam nic... Zastanawiam się głośno, przy sąsiedzie, czyby tak nie pójść tam do nich, może coś by oddali... Sług mówi: „idź, może coś oddadzą”. Był Polakiem, ale go nie wywieźli. Teraz mieszka obok nas. Poszedłem. Ukrainiec mieszkający już tam mówi, że nic nie ma, bo władza wszystko zabrała. Trudno, mówię, jak nie ma. Biedak jestem teraz, ale może coś ci zostało, to trochę przynajmniej oddaj, bo ja nie mam nic, nie mam w co się ubrać. A jak nie oddasz, to trudno. Wyciągnąłem papierosa, poczęstowałem go... Do widzenia, powiedziałem i poszedłem. Za jakieś pół godziny przylatuje do mnie siostra tego Ukraińca i mówi: „niech Pan przyjdzie, to Władek odda Panu ubranie.” Ja się bałem już tam iść, ale sąsiad Sług mówi: „ta co się boisz takiego ślepeką, dałbyś mu w mordę, to by uciekał jak ma być”. Poszedłem jeszcze raz. A tam NKWD już na mnie czekało. Tylko drzwi otworzyłem, pistolet i - ręce do góry! No i ręce trzeba było podnieść, A wtenczas krzyczą ci Ukraińcy, jaki ja bandyta, że ja ich przyszedł



wymordować, spalić, że przyszedłem po broń... Tak mnie smarowali. Do sowietów! I zabrali mnie. Widział to jeden z Polaków, Antek Kołodziej, którego zakże nie wywieziono, a widząc jak mnie zabierają, podskoczył do jednego z Ukrańców, do domu Swiderskiego, takiego "tajniaka" wielkiego, zgodliwego, chapnął od niego bochenek chleba i mi go podał. Wiozą mnie do tiumry drogą, a naprzeciwko idzie wójt ich chołowa. Enkawudzista wyskakuje z bryczki, a znał już tego wójta, wyciągnął z kabury pistolet i woła do niego: „ot, job twoju mać, gawary ale pilno, a jak nie będziesz poprawilno gadał, to cię ubijemy jak sabakę”. Tak do niego mówi, bo oni/Ukrańcy/ sowietom nagadali, że ja wielki bandyta itd., i ten wójt przestraszył się, nie wiedział co się dzieje, nic nie wiedział o wcześniejszych pomówieniach, więc prawdę mówi: że moja rodzina wywieziona, że jestem z kolonii, a że nie było mnie wówczas w domu, dlatego nie zabrano mnie z transportem. Że milicja kazała mi pójść gdzie chcę, nie wpóściła do domu, a gdzie poszedłem to on, wójt, nie wie i nie wie skąd się zjawiłem tutaj. A sowiet pyta - gdzie on, czyli ja, ma zbroję? Wójt na to, że nie widział mojej broni i nic nie wie. Sowiet pistolet do kabury, sied na bryczkę, jedziemy do tiumry. Tam mnie tak posmarowali... A oczernili mnie przed NKWD Ukrańcy, którzy jako ochotnicy przyjechali na naszą kolonię, zajmować nasze gospodarstwa z Kosienic, stąd, gdzie teraz my jesteśmy. Tutaj cała wieś była ukraińska, teraz także część ich tutaj mieszka.

Zamknęli mnie w więzieniu w Zborowie. W nocy już wołają na przesłuchanie. Przesłuchiwali ludzie w mundurach, co chwilę przychodził ktoś inny i wciąż pytali o broń. Ja mówię, że nic nie mam. I tak w kółko cały tydzień męczyli nie co noc. Nareszcie mówią: job twoju mać, ty swołocz, pajdiosz pod ścianku. Zaprowadzili do lochu, jeden wyciągnął pistolet i mówi: "job twoju mać swołocz gawary", a nie, to cię ubijom jak sabaku". Ja mówię po polsku: "proszę mnie ubić, nie mogę się przyznać do broni, bo jej nie mam". On pistolet schował, wyszliśmy, dali mi spokój. Ja mówię wtedy, że chcę jechać do Rosji,

bo tam mam rodzinę. Pojedziesz - mówi sowiet. A kiedy - pytam. Wyciągnąłem adres, który dostałem od żony. List napisała bowiem do swojego brata, kaleki, ciemnego na jedno oko, przez co uchronił się przed wywózką. Potem, już po wojnie, żona pisała listy do mojej rodzinnej wsi, do Lubeni i dzięki temu po wojnie się odnaleźliśmy. Sowity mówią mi, że jeśli chcę, to do Rosji pojedę, ale na razie dadzą mi tutaj mieszkanie i pracę na tadzień, po czym mam do nich się zgłosić. Ani mieszkania ani pracy nie dali. Mieszkałem gdziekolwiek, w jeden dzień tu, w drugi dzień tam, nie raz w stercie słomy... Nigdy nie było mnie na jednym miejscu. Za tydzień przyszedłem do tego sądu z bagażem i mówię, że mam jechać do Rosji, do Krasnourała. Tam się na mnie patrzą! Co to, jakiś wariat, czy co? Zaprowadzili mnie do komendanta, on powiada: "ot, job twoju mać, ty durak. Po co tam pojedziesz, tam nie ma po co." Ja odpowiadam, że do dzieci i do żony. "Ta tu dzie popatrzysz to żona jest. Może być." Oni mi dadzą robotę, żebym tu został i pracował, tak powiada.

Jak mnie wypuścili stamtąd, jakem uciekł, tak mnie już nikt nie widział. To był maj 1940 roku. Zamieszkałem chwilowo w tym schronie w lesie. To był dobry schron. Jak wlażem tam, zaparłem drzwiczki, zasnąłem... Po przebudzeniu się powietrza nie było, świeczki nie można było zapalić. Dopiero drzwiczki podniosłem głową do góry - od razu lekko się zrobiło. Akurat była noc. Wszedłem, maszeruję do gościńca. Najbliżej mieszkał Wróbel. To nawet ktoś z rodziny był. Zajdę tam, myślę, coś się dowiem. Obok niego mieszkała Borowniczka, Polka, też została. Zaszedłem tam, to było już do dnia, a tu już leci goniec za mną, że brat przyjechał ze Lwowa z milicją, na trzy furmanki, że załadowali w nocy wozy i pojechali w stronę Zborowa i tam na mnie czekają. I pojechaliśmy. Bo ta milicja, to byli przebierańcy, jego koledzy ze Lwowa i rodzina mojej żony. Oni nawet z początku wstąpili do tej milicji porządku pilnować. Ale tam we Lwowie był spokój, tam można było siedzieć spokojnie.

W naszych stronach, pod Zborowem, kołchozów na początku nie robili. Dopiero gdzieś jesienią 1940 roku kołchoz został założony. Paszportów żadnych nie dawano, zapisano tylko na listę i koniec. Ale oni tam bardzo marnie gospodarowali.

W naszych stronach byli Melnikowcy. Działali tylko nocami, ale to nie były jakieś zorganizowane oddziały partyzanckie, kupa cywili jechała. Jak zamordowali Szobra Jana, to my ich znaleźli kto to był. Jego nie wywieźli na Sybir. To było tak: byli my w kościele za stary rok na nieszporze. To był 1942 rok. On wrócił z kościoła do domu i tam go już obskoczyli. On miał takie szklane drzwi, przez nie zobaczył kogoś z karabinem i uskoczył w okno. Oni go pchnęli, z karabinem - i zawiesił się na oknie. Mąsili wówczas ranić i swojego, bo w drugim miejscu za ścianą była krew. Jan Szober mieszkał z żoną, ale dzieci nie mieli. Zaraz po tym żona uciekła do swojej rodziny, w sąsiednim domu mieszkał ojciec Janka z jego bratem. Brat ożenił się z Ukrainką, która szwarcowała się, że jest Polką, ale to była nie prawda. Brat poszedł na wojnę, nie wrócił, ojca wywieźli na Sybir, a u Ukrainki zadomowili się banderowcy. Dlatego Janka sprzątnęli, boby mógł podejrzewać. O tym całym zdarzeniu i o tym, że ona współpracowała z bandą dowiedzieliśmy się później. Ten Jan był bardzo porządnym człowiekiem, spokojny, grzeczny, uczciwy, prawdziwy Polak.

Innym razem zabili Gienka Szprysa. Jego rodzina zastała wywieziona tak jak moja, na Sybir, a on się ukrywał, nawet my nie wiedzieliśmy gdzie. A on ukrywał się na Kolonii w tej części, która należała już do Zborowa, u Bolaka Tyrca, a właściwie u jego synowej, której mąż poszedł na wojnę i dostał się do niewoli. Jak przyszli Niemcy w 1941-wszym ogłosili, że każdy może wracać na swoją własność. Ale tak nie było. Nie było nijakiej władzy, ani niemieckiej ani rosyjskiej. Byli tylko Ukraińcy. Stworzyli Samoistną Ukrainę, przez dwa tygodnie. Afisze w mieście wywiesili... kogo złapali, zamordowali... przepadło. Nikt o to nie pytał. A tego Szprysa nie mogli złapać. Wcześniej,

za Sowietów, zabrali mu do kołchozu jego konie, m.in. zarodowego ogiera. I za Niemców, jak ten kołchoz się rozleciał, Ukraińcy puścili wiadomość, żeby Szprys przyszedł sobie odebrać ogiera. I on się odważył i poszedł po te konie. A oni go chap, w ten czas tam. I tak go masakrowali... wydzubali mu oczy, urzli mu język, poutręcali nogi i pytali się czy widzi Polskę, żeby szedł do Polski mówili. Nie miał go kto dobić. A on miał narzeczoną Ukrainkę, jeszcze z przed wojny, która dowiedziawszy się, że ~~na~~ zostawili go w stajni spółdzielczej, poszła tam. Opowiedziała wszystko Osarczuczkom. To były trzy samotne kobiety, spokojne, dobre, które z nami się znały. Od nich też wiemy o całej historii. Nazwisk nam nie mówiły, tylko, że byli to Ukraińcy z Jarczowiec.

Jak Sowieci uciekli Ukraińcy aresztowali mnie drugi raz, ta sama banda. Aresztowali mnie, Krowiaka Józefa, który też miał rodzinę na Syberii, Waśniewskeigo i kogoś jeszcze.. Zabrali nas do popa do Jarczowiec do ruskiej wsi. U popa mieli kancelarię. Komentem ich był niejaki Żegraj. Kolegów moich zamkli do piwnicy, a mnie wzięli oprawiać. Mówią: "wy prowadzicie organizację Sikorskiego. Przyznaj się." Ja mówię, że nic nie wiem. I biją! A tak bili - surowo! Nareszcie jak mnie uderzył taką gumą jak ręka w głowę, upadłem i straciłem przytomność. A jeden z naszych Polaków, Wróbel był ożeniony z Niemką. Ona wiedziała, że aresztowali nas całkiem za darmo i pojechała na wojskową komendę niemiecką. Niemcy przyjechali do Jarczowiec, widziałem jak wjechali na podwórze, Ukraińcy kazali mi czapkę na głowę włożyć, a sami wylecieli na podwórze. A ja - bez okna, zaraz był cmentarz i uciekłem. Schowałem się do sterty słomy, przeczekałem noc, ale nie mam gdzie iść. Było do dnia, spotkałem sąsiada, Waszucki się nazywał, to był porządny człowiek Rusin. Nigdy nie powiedział, że jest Ukraińcem. Wiedział, że nas wczoraj aresztowali, ale zaprosił do domu, mówi: "choć, nie bój się". Miał trzy córki. Jedną, Maryskę, wysłał w jeden koniec wsi, drugą, Władkę, w drugi koniec wsi, trzecia paść miała krowy koło domu. Miały obserwować

czy milicja mnie nie szuka. Po jakimś czasie przylatuje jedna i mówi, że mnie szukają. Jak to powiedziała - we mnie serce przestało bić. W ten czas sąsiad powiada: "teraz to rób co chcesz. Uciekaj, albo się schowaj, bo ja się sam boję". Uciekłem w pola i dopiero wieczorem poszedłem do Wróbla i tam dopiero dowiedziałem się, że żona zawiadomiła Niemców. A Krowiaka wówczas zabili, wyprowadzili do lasu i zabili. Bo Niemcy do piwnicy nie zaglądali. Józek tak był strasznie zbity, że koszula, spodnie, kalesony popękały na nim, cały był czarny, spuchnięty. Dowiedziałem się o tym później. Widział go szwagier Władka Kotowicza /całą rodzinę miał na Syberii, tutaj sam został/. Szedł wówczas do miasta i widział jak Krowiaka prowadzili do lasu. Jeszcze Krowiak ~~mi~~ zdążył dać mu znak, by sam uciekał, bo skończy podobnie... Józka zabiły bandziory, a żonę z dziećmi, z sześciorgiem dzieci sowiety wywiozły na Syberię. Jedno dziecko podczas jazdy już zmarło, w wagonie, a potem wszystkie zmarły na syberii, matka, Zośka też. Ani jedno nie wróciło... Kotowicza Władka rodzicę zmarli tam również, z biedy, z głodu, a siostra Wanda, w kopalni w Krasnouralsku. Został Władek, mieszka teraz w Rzeszowie, ożenił się, ma synów...

Niemka chciała bym z nią szedł na komendę niemiecką wszystko opowiedzieć. Poszliśmy, opowiedziałem, że bili mnie za to, bo się upominał o swoją gospodarkę, nic nie mówiłem o ukraińskiej tajnej organizacji. Niemcy mówią: ach, to komuniści. Zapisali nazwisko Żegraja z Jarczowiec, bo tylko jego znałem, dali mi dokument nietykalności.

Jak Niemcy w 1941-wszym udarli na Rosję, wojsko rosyjskie uciekało, poddawało się do niewoli. W pierwszy dzień wojny wziął mnie taki drogomistrz ze Lwowa na furmana. Pracowałem tam wcześniej przy budowie drogi. Miał parę koni, dogadaliśmy się. W pierwszym dniu wojny budzi mnie rano, coś tak grzmi od zachodu i mówi: "Tłuczek wstawaj, Lwów bombardują, jedziemy do Lwowa". No, jak rozkaz to rozkaz. Przyjechali my pod Lwów, wszystko ucieka, prze-

ważnie cywile. Stoi wojsko: "pastoj!" Nie wolno do Lwowa jechać. A drogomistrz po sowiecku mówi, że musi tam jechać. Zabrali go, ale zaraz wrócił: "jedziemy, ja mam dokumenty urzędowe" - mówi. Na początku miasta rzekł mi bym patrzył na niego, będzie mi ręką tylko pokazywał w którą stronę, ulicę skręcać, bym się dużo nie pytał. Dobra - mówię - będę dawał pozór. Przejechali my przez cały Lwów na drugą stronę, na drugi koniec miasta do jakiejś stacji. Tam wszędzie kamienice porozwalane, zbombardowane już, a on mówi: "tu będziemy stać". "Panie drogomistrzu, tu niebezpiecznie" mówię, "Co się boisz, tu właśnie bezpiecznie jest, bo już nie ma na co zrzucić bomby. A zresztą na te siwe konie i tak nie będą bomb rzucać". Tak powiedział i poszedł. A za chwilę lecą samoloty, eskadra za eskadrą i sypią bomby i to blisko mnie - na stację. Siedzę, drogomistrza nie ma, za jakiś czas przychodzi kobieta, elegancka, widzę przyniosła śniadanie, sznapsa... siedzę dalej. Druga godzina już chyba jest, jego nie ma, a chodził po wojskowemu. Idzie, ale idzie cywil, beretka, nie do poznania. Przyszedł, mówi: nie bój się, tu, na te siwe konie bomb nie będą rzucać. Bądź spokojny". Poszedł znowu. Za parę godzin przyszedł - jedziemy. Całkiem inną drogą, przez jakiś las, tam sowiecka artyleria ustawiona, czołgi stoją, on prowadzi takimi drożynami, że ledwie jadę. A to wojsko nic nie mówi. Wyjechaliśmy na szosę - jadą samoloty. Z drogi kto żyw ucieka, a on mówi do mnie: "żebyś ty nie ważył się zjechać! Na te siwe konie nie będą strzelać z samolotu." Tak skurwysyn jeden spuścił się prawie ponad samą ziemię... i poleciełi dalej. Ja na drugi dzień uciekłem od niego. On mówi: "Panie Tłuczek, źle Pan robisz, że ode mnie odchodzisz". "Panie drogomistrzu, ~~ja~~ ja się boję. Takich furmanek ja już się boję". Tak mu powiedziałem. A jeszcze wcześniej, przed kilku dniami kazał mi napisać list do żony na Syberię, by uciekali stamtąd na zachód do Polski, "bo nasza armia wkrótce tam dotrze!"

Jaka to nasza armia, myślę, ale list napisałem, zaniósłem na pocztę

w Kamionce Strumiłowej, 12 kilometrów od Lwowa, skąd żona pochodziła. Ale ten list nigdzie już nie zaszedł. Idę na pocztę, w lesie spotykam drogomistrza, on mówi do mnie: "Cześć Tłuczek, nasi już są w Kamionce, za dwie godziny mogą tu być". To był niemiecki szpieg! Więcej go nie widziałem. Mówił, że jest z Wołynia.

W Jarczowcach i okolicznych wioskach mieszkali Ukraińcy i Rusini. Ukraińcy chcieli niepodległej Ukrainy, a Rusini kiepsko na nich patrzyli. Rusin mówił tak: " Ja uważam człowieka, a takiej bandy ja nie uważam". Tak na przykład mówił Borucki, znajomy, że tak nigdzie nie ma na świecie, że w innych krajach, w Ameryce, tam normalnie ludzie żyją. A tutaj, takim zachowaniem oni państwa nie zdobędą. Było takich ludzi sporo, nie chcieli do bandy pójść, na takie morderstwa. I później ten Borzucki uciekł tak jak my, do Polski. Jego gospodarstwo obrabowali. On już nie żyje, miał żonę Polkę, zostały córki.

Ukraińców do rozprawy z Polakami i Rusinami namawiali również księża grecko-katolicy. Tam przeważnie mieszkali greko-katolicy. I taki ksiądz w cerkwi mówi tak z ambony: że muszą wyplewić wszystek kąkol z pszenicy, żeby zostało czyste ziarno. Jak on tak na ambonie ogłosił, tak zaczęli w ten czas Polaków rżnąć. Greko-katolicy! Tak chcieli wolne państwo stworzyć.

Konspiracja. Armia Krajowa tworzyła się na tamtych terenach dopiero chyba za Niemców. To była straszna tajemnica! My wszyscy należeli do niej. Jak Niemcy uderzyli na Ruskich, ja wróciłem do kolonii, do Jarczowiec i tam zaczęła się tworzyć organizacja podziemna, AK. Oczywiście wybierali takich, których byli pewni, że nie pisną słówka. Postawili krzyż, świecę zaświecili, trzeba było przysięgać. Za zdradę - kula w łeb i koniec! Ja byłem gońcem. Gazetki podziemne roznosiłem... Dowódcą był Balaryn, Polak ze Zborowa, przed wojną był zdaje się kapitanem. Był jeszcze taki Furtak ~~xxxxxx~~ Alojzy, po wojnie wyjechał na zachodnie tereny. On pochodził

z wioski sąsiedniej - Rokietnic<sup>ka</sup>. Był organizatorem siatki konspiracyjnej. Ja przed nim składałem przysięgę na krzyż i światło. Sam jeden w pojedynkę. Nas tam było niewielu, pewnie z siedmiu na dwie wsie. Broni nie mieliśmy jeszcze, nie mogliśmy większych akcji przeprowadzać. Robiliśmy ćwiczenia, przygotowania.

Jak Niemcy już cofali się, w naszych terenach pod Zborowem była ich druga linia i wszystkich ewakuowali poza front. Ja się tak cofałem aż do Rzeszowa, bo wszędzie na niemieckich tyłach byli Ukraińcy. A do Rzeszowa jak się przyszło, to tam dopiero partyzantka AK grasuje! A ja z nimi... Ale oni mi mówią: ty już masz dość, tobie wystarczy. Ty już siadź spokojnie. Tu w Rzeszowie AK to było jawne! W okolicach Tyczyna prali się prawie całą noc z Niemcami. Ale co - partyzanci mieli broń! Jak samochód niemiecki do wsi przyjechał, to tylko tam z gór: puk, puk i Niemcy już uciekali.

Kiedy Rosjanie zajęli Polskę, zrobili na Sanie granicę i wrócić do siebie, do Jarczowiec nie mogłem. Pojechałem na zachód, do Wrocławia. Na tamtych terenach obiecywali gospodarstwa. Ale czegoś mnie tam bardzo to nie cieszyło. Bo tam, na wschodzie, my dostali popalić tak porządnie... A wszyscy mówili, że to niedługo, że to musi zmienić się, że wrócimy do Zborowa na swoje. Nawet takie wojskowe goście mówili. To ja mówię: stąd, spod Przemyśla to ja tam do siebie w dwa dni na piechotę zajdę, albo konia zaprzagnę i zajadę na swoją własność. Ale niestety... Tak, co bądź się zajęło, na tymczasem... Bo jakbyśmy myśleli, że tu, gdzie dziś jesteśmy pozostaniemy, to coś lepszego poszukalibyśmy. I tak każdy robił, aby się tylko ucześcić, kawałek chleba zebrać... Bo czy Pan wie, co to znaczy głód?



Tekla Tłuczek, z domu Kostecka, c. Stanisława i Marii, ur. w Kamionce Strumikowej k. Lwowa w 1914 r. Mieszka w Kosienicach.



Przyjechali furmankami pod próg... Ja do ciemnej nocy niewybierałam się, bo co: dzieci! Anielcia była mała, miała 4 latka, Mieczek roczek, przy piersi był, męża nie było, był w Zborowie. A Ukraińcy do mnie siłą, że muszę pójść. Wytrącili mi wszystko z rąk, nic mi nie dali wzięść, bo ich to wszystko łakomiło, to, co mieliśmy w domu. Nawet męża wojskowe buty nie mogłam - chciałam wzięść, to jeden z nich mnie potrącił, nie dał nic... Gdzie byli sowieci, to nic nie bronili, jeszcze kazali. A gdzie byli Ukraińcy, to mówili: żeście się dość już najedli. Ja ich nie znałam, nie byli z naszej wioski. Wymieniali się.

Na Syberię do Krasnouralska jechałam z panią Zofią Hodiak~~ą~~ i z jej rodziną w jednym wagonie, a tam mieszkaliśmy w jednym baraku. Były tam dwa baraki, w jednym my mieszkaliśmy, a w drugim ludzie z Kabarowic. Pracowałam tam w kopalni. Była to kopalnia rudy miedzi, pracowałam z Wandą Kotowicz i matką Zofii Hodiak, która nosiła bory, świdry i raz jeden taki świder spadł jej na głowę i z tego potłuczenia umarła. Do kopalni zjeżdżało się przez ogromny szyb windą pod ziemię na różne głębokości. Ja wybierałam rudę na 125 metrach, na 30 i na 250 metrach. Pogłębiali nawet do 500m. To były wspaniałe złoża. Rudę wybieraliśmy z tzw. komór, o powierzchni 10m x 10m, pracowaliśmy od dołu do góry, od np. 125m do 30m, ponieważ ściany boczne nie nadawały się do wybierania. Dziury borował /wiercił/ Zabończyk. Bory, które nosiła mama pani Zosi były zakończone diamentem lub jakimś twardym metalem, ale nie były to świdry, jakie można w sklepie kupić. Na końcu każdego świdra była taka jakby głowa, zgrubienie przecięte na krzyż, w którym był diament lub coś

innego. Długość miały od 1m do 0,5m. Zabójczyk porował, zakładał dynamit i - zawsze pod koniec zmiany - odpalał. A na drugi dzień rano mieliśmy nową robotę. Czasem trzeba było na brzuchu lub na kolanach wciskać się do góry. Ja dobrze pracowałam, bo musiałam - dwoje dzieci na utrzymaniu miałam. Nazywali mnie stachanowka - dobry robotnik. Płacili mi 100 rubli miesięcznie, a na wolnym rynku 100 rubli kosztował 1 kilogram chleba.

O buntach nie było mowy... Raz przywieźli Estończyków. To byli sami mężczyźni, pracowali tam dwa lub trzy miesiące tylko. Było ich z dwudziestu młodych mężczyzn. Oni się tam buntowali, śmiali się z władz, Stalina, dużo mówili niepotrzebnych słów, dlatego krótko tam byli. Dowcipkowali, powiadali do nas: " na śniadanie kromka chleba i woda, na obiad kromka chleba, na wieczór chleb, woda, a Stalinu hura, hura ". Bo zawsze wieczorem na górze koło kancelarii dyrekcji robiono nam zebranie. Zawsze jeden jakiś nam tłumaczył jak to nada pracować, bo wrog by nas zagłuszył. Tłumaczył zawsze ktoś z naczalstwa, z Rosjan. Potem zawsze musieliśmy klaskać na cześć Stalina.

Jedna zmiana pod ziemią trwała 8 godzin, ale jak wybuchła wojna sowiecko- niemiecka pracowaliśmy dłużej. Wcześniej, przed końcem pracy nikt z kopalni nie mógł wyjść. Każdy miał swój numer. Kopalnia nie była ogrodzona, na jej teren, na powierzchni ziemi, mógł wejść każdy. Ale tam oprócz pracujących ludzi nikogo nie było. Windą w dół mogli zjeżdżać ci, którzy mieli numerki. Jednocześnie zjeżdżało 20 osób, a jedna zmiana to było kilka kursów windy. Na dole ludzie rozchodzili się wzdłuż torów kolejki.

Najgorzej było kiedy pracowaliśmy na głębokości 124m, w jednej części kopalni, gdzie temperatura powietrza była 50 stopni Celsjusza. Nie mogliśmy tam pracować. Pytaliśmy się jednego starego dziadka obsługującego windę, co to znaczy. Powiedział, że kilka lat wcześniej tam był wybuch wielki ponieważ ci, co zarządzali kopalnią, a to było już za komuny, naskładali pod ziemią olbrzymie ilości prochu

i dynamitu. Był to czas kiedy wlazono jeszcze z komuną i jakiś jej wróg zakradł się do kopalni i podpalił skład. To się paliło dwa lata. Na zewnątrz ziemia się zapadła i widać było, obok budynku ków dyrekcji olbrzymiej wielkości dół - kotlinę, pół kilometra w jedną stronę, pół w drugą. Teraz dookoła miejsca wybuchu wybierano rudę, a była bardzo gorąca. Tam chyba się jeszcze paliło. Trzeba było robić w samych majteczkach, z człowieka ciurkiem się lał pot. Ja tam krótko pracowałam. Dłużej pracowali tam Marcel Wróbel, nasz sąsiad z Jarczowiec,, jego żona, Krowiak Wicek, Lasoty. Pod pachami ludzie mieli jedne rany z potu.

Kierownik~~em~~ naszym w kopalni był niejaki Zachanów, a głównym dyrektorem Aksionów, o - to był sukinsyn! Zły był jak pies. Normę wyrabiać kazał i koniec. Jak chodziłam do niego po zwolnienie, to dzwonił po milicję.

Pracowałam tam od 1940 do 1944 roku, potem przeprowadziłam się do woj. mołotowskiego ponieważ z Polski, z Warszawy dostałam adres mojej rodziny /brat Jan KostECKI/ również wywiezionej, która mieszkała i pracowała we wsi Juryna koło Mołotowa. Kiedy tam przyjechałam, cała rodzina była tam: brat, siostra, tato, mama...

Stamtąd przenieśliśmy się do województwa saratowskiego. Tam już było dobrze, mieszkaliśmy w niemieckiej kolonii. Jeszcze dawniej, jakaś caryca sprowadziła tam Niemców, którzy założyli miasto Bajcer. Ale jak tam przyjechalіśmy, Niemców wszystkich wysiedlili do tajgi zostawiając tam tylko jedną Niemkę /jej mąż służył w armii rosyjskiej/ do pilnowania krów. Jakie oni mieli krowy! Mleko dajne, niemieckie! Marusia, tak się nazywała, mówiła nam, że wysiedlili ich na wschód dlatego, że jak front zbliżał się do Stalingradu, który jako województwo graniczy z saratowskim, Niemcy samolotami mieli w okolicy Bajceru i kolonii zrzucić desant. Tam było dużo kolonii niemieckich, dużo tkalni, produkowano jedwab, płótno, piękne gospodarstwa.

Zamieszkaliśmy w poniemieckich, porządnym jednorodzinnych domkach. Pracowałam w PGR, doiłam krowy. Każda z nas miała po 10 krów, zapłata bały kiepska, ale można było ukraść mleko i mogliśmy żyć. Nadzoru nie było, tylko ta niemka Marusia, która nie zwracała uwagi. Braliśmy więc bańki i przez parkan przemycaliśmy po 5 litrów. A dzieciom to było potrzebne...

Jakie mieliśmy dokumenty. Jak Sikorskiego zabili, dali nam obywatelstwo rosyjskie. Nie wszyscy chcieli przyjąć. Był tam niejaki Cisek, inżynier z Poznania. Każdy z nas wchodził do urzędu podpisywać obywatelstwo. A Cisek nie podpisał, powiada do nas: "zróbcie tak jak i ja robię". Powiedział to na cały głos przy wszystkich urzędnikach. Dostał za to 6 miesięcy więzienia. Ja mówię do niego: Panie Cisek, Pan jest sam, bez żony, bez dzieci, a ja, jak nie przyjmę obywatelstwa, zabiorą mi dzieci, wyślą do sierocińca i będzie koniec. Potem, jak Cisek wrócił, dostał dokument: "swobodne prożiwanie grażdana polskowo na teritorii ZSRR". Międzynarodówkę mu dali, a mnie rosyjski paszport. Ale gdzie ja bym dzieci szukała? O dzieci chodziło. Miałam więc rosyjski paszport. Potem, jak przyszło do wyjazdu do kraju musieliśmy pisać podanie do Stalina, oni to nazywali obłaci: "ja, obywatelka polska zrzekam się obywatelstwa rosyjskiego i chcę wracać do ojczyzny, do Polski". Wszystkie listy szły do Moskwy. Potem przyszło pismo, że obywatele pochodzenia polskiego mogą wracać do kraju. Żydzi też. A obywatele pochodzenia ukraińskiego, bo byli tacy co tak pisali, zostają. Ludzie - co się działo! Nasza sąsiadka z Jerczowiec, Zahajkowa, ładna, urodziwa pannica, powiesiła się! To było w momencie, kiedy już gromadziliśmy się na stacji kolejowej, 25 marca 1946 roku w Saratowie. Polacy i Żydzi. A Ukraińcy wywiezieni razem z nami /samych bogatych wywieźli, mających po 30 morgów/ musieli zostać. Ale tylko ci, co pisali, że są obywatelami ukraińskimi. Inni pisali, że są Poakami i wracali. Z naszych ukraińskich sąsiadów został jeszcze Bodnar i dwóch Zajców. Żydzi wracali wszyscy...

Transport był strasznie długi, wagony towarowe, nazwaliśmy je bycze. Dzień wyjazdu /25.III/ to było samo Zwiastowanie. Przyjechaliśmy do Polski, skierowali nas od razu na zachód, do Wrocławia, szukać wolnych do objęcia gospodarstw. Ale mnie straszny wstręt wziął: akurat zajechaliśmy na niemiecką wieś Tetrowice gdzie właśnie wysiedlali Niemców. Piękne mieszkania, domy murowane... I taki smród mały wyprowadził dość starszego Niemca i tak podskakuje i bije go w twarz, tego Niemca! Taki młody Polak. Ja się patrzę... jak to mnie zmroziło! Tak sobie pomyślałam.. przypomniało mi się jak mnie z chałupy wyrzucali. Tak samo jak ten smród tego Niemca! Myślę sobie: nie daj Boże, żeby któregoś dnia przyszli Niemcy i mnie tak wyrzucać stąd zaczęli. Jeszcze raz. I wróciliśmy.

Chciałam jeszcze dodać do opowiadania męża.

Koło Kamionki Strumiłowskiej była wieś Horki. Tam się strasznie bili Polacy z Ukraińcami, szczególnie po wejściu Niemców w 41-wszym. Tam był polski kościół i, opowiadała mi moja ciotka /już zmarła, ale jej rodzina mieszka w Skołoszowie, jej córki/, jak tam złapali polskiego księdza, położyli na gościńcu, taki jaki był - żywy, jedni trzymali go, a dwóch rznąło piłą na pół. Gdzież może takie państwo istnieć! Jej córki, Kasia i Hania to pamiętają.